

PELNA CIEPŁA KOMEDIA  
O SMUTKU I OJCOSTWIE.  
I O TAŃCZĄCYCH NIEDŹWIEDZIACH.  
OWEN KING

MARGINESY

# MÓJ TATA PANDA

JAMES  
GOULD-  
-BOURN



*Bear Necessity*

COPYRIGHT © James Gould-Bourn 2020

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Penksyk-Kluczkowska  
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2021

Dla Mamy i Taty, Lindy i Phillipa Gould-Bournów

Danny Malooley miał cztery lata, gdy przekonał się na własnej skórze, że mydło cytrynowe ani trochę nie smakuje jak cytryna, za to zdecydowanie jak mydło. Gdy miał lat dwanaście, ratując kota, który chyba – chyba! – potrzebował ratunku, Danny przekonał się na własnej skórze, że nie da się spaść z drzewa bezboleśnie ani godnie. Gdy miał lat siedemnaście, przekonał się na własnej skórze, że aby zostać ojcem, wystarczy trzylitrowa butla taniego cydru, dziewczyna do spóły, niezręczne macanki w Hackney Downs i generalne lekceważenie podstawowych praw natury, a gdy miał lat dwadzieścia osiem, przekonał się na własnej skórze w sposób najstraszliwszy, że aby zgasić gwiazdy, aby zatrzymać ziemię całą dygocącą w posadach, wystarczy małeńkie, niewidoczne pasmo lodu na bocznej drodze.

Obudził go pisk opon albo krzyk, nie był pewien. Zerwał się, rozejrzał po pokoju, próbując połączyć dźwięk z otoczeniem, aż jego umysł się ocknął i poinformował, że to był zły sen. Danny opadł na przepeconą poduszkę, spojrzął na zegar przy łóżku – 6.59. Cyfry świeciły w porannym brzasku. Wyłączył budzik, zanim godzina się zmieniła, i delikatnie musnął dłonią poślanie na pustym miejscu obok siebie. Odgarnął lepką kołdrę i wygramolił się z łóżka. Nie patrząc na swoje odbicie w lustrze szafy, powoli się ubrał we wczorajsze ciuchy.

Drzwi do pokoju Willa były szeroko otwarte, więc w drodze do kuchni Danny je zamknął. Napełnił czajnik wodą i postawił na gazie, wrzucił czerstwy, choć jeszcze miękki chleb do tosterka i włączył radio, bardziej z nawyku niż dlatego, że chciał wiedzieć, co się dzieje na świecie. Prezenterka mruzczała coś w tle, a on lustrował pocztówkowy widok z okna – pocztówkowy ze względu na wielkość okna, nie piękno okolicy. Niebo było niebieskie jak linia Victori, ale promienie słońca w znikomym stopniu rozjaśniały ten obraz. Danny’emu często przychodziło do głowy, że osiedle w jasnym świetle wygląda jeszcze gorzej, głównie z tego powodu, że więcej widać. Tak jak słabe oświetlenie mogło zwiększyć atrakcyjność partnerki umówionej przez Tindera albo dodać uroku obskurnej knajpie, tak też pod ołowianym niebem częściowo znikają ponure realia osiedla Palmerston. Kiedy wpatrywał się w ścianę betonowych bloków, które miłosiernie przesłaniały widok na kolejne betonowe bloki, Danny po raz kolejny doszedł do wniosku, że trzeba się przeprowadzić. Do tego samego wniosku doszedł wczoraj i dojdzie do niego jutro.

Zjadł śniadanie przy stole, ze wzrokiem utkwionym w tej samej ścianie, w którą się tyle wpatrywał przez ostatnie czternaście miesięcy, że aż tapeta zaczęła się marszczyć pod ciężarem jego spojrzenia, ale Danny tego nie zauważył. Nie zauważył też ciemniejącej wykładziny w korytarzu, pobrudzonej przez jego buty robocze, które codziennie zrzucił tam z nóg, nie otrzepawszy z błota. Nie dostrzegał na szybach warstwy brudu, dzięki której ktoś, kto wyglądał przez okna, mógł się przedwcześnie przekonać, jak wygląda życie z kataraktą, ani truchła w doniczce na parapecie, które niegdyś było dorodnym filodendronem, a teraz przypominało grudkę napromieniowanej skórki od ziemniaka. Nie zauważałby nawet poczty, gdyby nie to, że zawsze po-

jawiała się w czasie śniadania, a on się wzdrygał, gdy z terkotem przelatywała przez otwór i lądowała na podłodze.

W przedpokoju leżały dwie białe koperty. Pierwsza zawierała pasywno-agresywne upomnienie z wodociągów, że zalega z opłatami za dwa miesiące. Druga była ostatnim ostrzeżeniem dotyczącym nieuregulowanego rachunku za prąd – większość treści została napisana wytłuszczonymi czerwonymi literami, między innymi słowa „sąd”, „komornik”, „pozew” i – o dziwo – „dziękujemy”, które dzięki temu wyglądało bardziej na groźbę niż ogólnie przyjęte wyrażenie wdzięczności.

Danny ściągnął brwi i potarł czterodniowy zarost, który zgrzytał pod palcami o obgryzionych paznokciach. Spojrzał na tablicę magnetyczną na ścianie, gdzie dwa magnesy będące pamiątkami z Australii przytrzymywały gruby plik papierów. Nad nimi widniał skreślony dużymi czarnymi literami napis „Niezapłacone”, a obok nich wisały dwie kartki. To był zbiór o nazwie „Zapłacone”. Danny dołączył nowo przybyłe upomnienia do większego pliku, a po niespełna sekundzie magnesy puściły i rachunki sfrunęły w nieładzie na podłogę. Pozbierał je z westchnieniem. Następnie, używając trzeciego magnesu, o kształcie opery w Sydney, ponownie przyczepił rachunki do tablicy, a obok napisał: „Dokupić magnesy!”.

– Will! – krzyknął z progu kuchni. – Wstałeś?

Chłopiec usłyszał wołanie taty, ale nie odpowiedział, tylko dalej oglądał siniaka na ramieniu. Wyglądał jak burza rozszałała pomiędzy chudym przedramieniem a tym, co uchodziło za biceps, granatowoczarna chmura na mlecznobiałej skórze. Will delikatnie dotknął siniaka palcem. Nie miał świadomości, jak wrażliwe jest to miejsce, dopóki najlżejszy nacisk nie wywołał tępego bólu, który rozlał się na całe ramię.

– Wstawaj, śniadanie! – krzyknął ojciec znużonym już głosem.

Will zdjął z klamki szkolną koszulę i krzywiąc się, ostrożnie wsunął rękę w rękaw.

– Dzień dobry, śpiochu – powiedział Danny, gdy chłopiec, powłócząc nogami, minął drzwi kuchenne i osunął się na krzesło przy stole. Ojciec dołączył do niego po paru minutach z kubkiem w jednej dłoni i talerzem z tostami w drugiej. Postawił je przed synem i siadł naprzeciwko niego.

Will patrzył na talerz spod blond grzywki, która zakrywała pięciocentymetrową bliznę przy linii włosów. Spomiędzy dwóch tostów posmarowanych masłem orzechowym zerkał na niego Parowóz Tomek, a Czerwony Kuba niemal kpiąco uśmiechał się z kubka.

– Jedz, bo się spóźnisz – powiedział Danny. Wypił łyk zimnej herbaty i się skrzywił.

Will obrócił swój kubek, tak że nie widział już lokomotywy. Niepewnie odgryzł kęs tostów, a resztę położył Tomkowi na twarzy.

– Pamiętaj, że dzisiaj urodziny mamy.

Chłopiec przestał przeżuwać i tylko wpatrywał się w talerz. W ciszę, która pomiędzy nimi zapadła, wkradł się szmer radia.

– Will?

Kiwnął głową, nie podnosząc wzroku.

Zadzwoił dzwonek do drzwi i Danny poszedł otworzyć. Zerknął przez judasza – na galerii czekał Mohammed. Chłopiec był pulchny, miał okulary w grubych oprawkach i aparat słuchowy. Nad jego ramieniem czaił się Londyn.

– Dzień dobry, panie Malooley – powiedział chłopiec, gdy Danny otworzył drzwi. – Wie pan, że bańka pierdów pletwała błękitnego jest tak wielka, że mieści się w niej koń?

– Nie, Mo. Z ręką na sercu mogę powiedzieć, że nie miałem o tym pojęcia.

– Widziałem wczoraj na Animal Planet – wyjaśnił Mo, który uwielbiał oglądać filmy przyrodnicze tak, jak większość jedenastoletków uwielbia patrzeć na YouTubie, jak ludzie zadają sobie rany.

– To brzmi okrutnie – podjął Danny. – Jak w ogóle wsadzili konia do pierda płetwała?

– Nie wiem. Tego nie pokazali.

– No tak. – Danny ściągnął brwi, rozważając logikę takiego eksperymentu.

– Will jest już gotowy?

– Daj mu chwilę, jeszcze je...

Will właśnie minął ojca i wyszedł na galerię, zanim Danny dokończył zdanie.

– Do widzenia, panie Malooley – powiedział Mo.

Will bezceremonialnie prowadził już kolegę w stronę schodów.

– Do widzenia, Mo. Synu, widzimy się po szkole, tak?

Syn nie odpowiedział i zniknął za rogiem.

Danny wrócił do środka, zebrał kubki i talerze ze stołu. Wylał do zlewu nietkniętą herbatę Willa, niezjedzonego tosta wrzucił do kosza na śmieci. Te same czynności wykonywał niemal codziennie od wypadku.



Danny w żółtym kasku i odblaskowej kamizelce łopoczącej na wietrze przemierzał plac budowy. Szedł do Alfa, brygadzysty, który był ubrany podobnie, tylko że w rękę trzymał podkładkę z przypiętymi dokumentami. Alf był tęgim łysiejącym mężczyzną z twarzą jak bokser, który nigdy nie trzymał gardy. Zauważywszy, że Danny się zbliża, obejrzał się na stojącego niedaleko bladego gościa o chudej twarzy ubranego w czarny garnitur. Można by go uznać za Śmierć, gdyby nie miał na głowie kasku. Mężczyzna postukał w zegarek i wskazał na Danny'ego. Brygadzista westchnął.

– Cześć, Alf – powiedział Danny, przekrzykując hałas żurawi wnoszących wysoko obracające się powoli palety, gdy dygocące ramiona koparek zgarniały wielkie kupy ziemi.

– Spóźniłeś się.

Danny spojrzał zdziwiony na telefon.

– Według mojego zegarka nie. – Pokazał Alfowi wyświetlacz komórki.

– Ale według jego zegarka i owszem – odrzekł brygadzista, ignorując telefon i ruchem głowy wskazując mężczyznę w garniturze.

– Kto to?

- Wiktor Orłow. Nowy kierownik budowy.

- Orłow?

- Kozak. Kawał sukinsyna. Dzisiaj zwolnił już dwóch ludzi. Każdemu dobierze się do dupy.

Danny patrzył na mężczyznę w garniturze. Mężczyzna w garniturze patrzył na niego lodowatym wzrokiem.

- No, bierz się do roboty - powiedział Alf. - Jesteś z Iwanem przy cemencie. I jeszcze jedno...

- Tak?

- Nie spóźniaj się już.

Danny wziął szuflę i dołączył do Iwana, Ukraińca wielkiego jak góra, porozumiewającego się łamaną angielszczyzną. Był w stanie przenieść więcej ziemi niż koparka i budował szybciej niż mistrz Minecrafta. Danny podejrzewał, że Iwan zabił w życiu co najmniej jednego człowieka, i to gołymi rękoma. U podstaw jego podejrzeń leżała głównie galeria prymitywnych więziennych tatuaży zdobiących napakowane przedramiona Ukraińca - poszarpane słowa, brzydkie twarze; na lewym ramieniu, poniżej łokcia, miał nawet wypełnioną planszę w kółko i krzyżyk i jakieś inne gryzmoły, o których znaczenie Danny bał się zapytać.

Przyjaźnili się, odkąd kilka lat temu Danny uratował Iwanowi życie. W każdym razie tak zapamiętał to Danny i inni na budowie, ale sam uratowany kolega podważał tę wersję wydarzeń. Pracował od dwóch tygodni, kiedy wiatr zrzucił z rusztowania stalową rurę. Wylądowałyby na głowie Ukraińca, gdyby Danny, który akurat był w pobliżu, nie odepchnął kolegi (mało sobie przy tym nie zwichnął ramienia), ale gdy go okrzyknięto bohaterem, Iwan, który lubił opowiadać, że przejechał po nim czołg, a i tak go nie zabił, uparcie twierdził, że byle trzydziestokilogramowa rura nie posłałaby go na tamten świat ani nawet na jednodniowe zwolnienie i że wszyscy histeryzują jak

w *EastEndersach*. Z tamtego wydarzenia do dziś sobie żartowali, chociaż chyba tylko Danny uważał te żarty za zabawne.

– Danyło – przywitał się Iwan, wrzuciwszy porcję cementu do taczki.

– Cześć, Iwan. Kim jest ten kutas w gajerze? – Danny wskazał kciukiem przez ramię.

– Więc ty poznał Wiktora.

– Alf mówi, że dzisiaj rano wywalił już dwóch ludzi.

– Przyszłali go z Moskwy. Mówią, że za wolno pracujemy.

– Zakładają, że będziemy pracować szybciej, jak nas zwolnią? Iwan wrzuszył ramionami.

– W Ukrainie mamy słowo na takich ludzi jak Wiktor.

– O, a jakie?

– Dupek.

Danny się roześmiał.

– Jak ci minęły wakacje? – spytał, wbijając szuflę w mokry cement.

– Wakacje? Jakie wakacje? Biorę Iwanę do Odessy. Spędzam tydzień z jej rodziną. Z jej matką, co mnie nienawidzi. I jej ojcem, co mnie nienawidzi. I jej siostra to samo. Nawet pies mnie nienawidzi.

– Właśnie widzę. – Danny wskazał ślad po ugryzieniu na ramieniu kolegi.

– Co? – Iwan podążył wzrokiem za jego palcem. – Ach, nie. To babcia.

– Aha.

Iwan wyjął z kieszeni zwitek papierów i zmieszany podał go koledze.

– Trzymaj – powiedział.

Danny od razu wiedział, co to jest. Tydzień po zejściu z rusztowaniem Iwan zaprosił na kolację Danny'ego z żoną Liz i synem.

Prawie ze sobą nie rozmawiali, odkąd dzięki Danny'emu (albo i nie, w zależności od tego, czyją stronę trzymasz) Ukraińca nie przebił dwumetrowy kawał stali. Poza tamtym dniem prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiali, a Iwan nie wyjaśnił, skąd to zaproszenie, chociaż Danny zawsze zakładał, że to delikatna forma podziękowania. Wieczór – jak się okazało, pierwszy z wielu podobnych – spędzili przy stole, jedząc, śmiejąc się i pijąc za dużo gorzałki (Liz piła najwięcej, więc i najmocniej później cierpieła), podczas gdy Will i Jurij – syn Iwana i Iwany – grali na xboxie, obaj zażenowani widokiem rozweselonych rodziców. W pewnym momencie Liz zakochała się w stojącej na parapecie kolekcji drewnianych malowanych jajek Iwany. Od tego czasu, ilekroć Szewczenkowie jechali do Ukrainy, Iwan przywoził drewniane jajko dla Liz, i pomimo tragicznej zmiany okoliczności dalej to robił.

– Dzięki. – Danny obracał w dłoniach barwnie zdobiony przedmiot. Wiedział, jak niezręczne są te momenty dla Ukraińca, który musiał się nieraz zastanawiać, czy zrezygnować z tradycji czy nie, ale Danny cieszył się, że nie rezygnował.

– Jak Will? – spytał Iwan, aby zmienić temat.

– W porządku. – Danny wsunął jajko do kieszeni. – Chyba. Nie wiem.

– Dalej nie mówi?

– Nie. Ani słowa. Nawet przez sen.

Podszedł do nich robotnik z pustą taczka i po chwili oddalił się z napełnioną.

– Słuchaj... – podjął Iwan – może on jednak mówi.

– Do mnie się nie odzywa.

– Nie o to mi chodzi. Jak człowiek milczy, to też krzyczy, rozumiesz?

– Nie do końca.

– Posłuchaj. – Iwan postawił szufłę na sztorc w mokrym cementie i oparł się na trzonku. – Jak Iwana się na mnie wścieka, czasami na mnie krzyczy i wyzywa, że jestem durak i sobaczy syn, ale czasami, jak jest naprawdę wściekła, przez wiele dni słowem się nie odzywa. Jest cicha jak mysz, ale ja wiem, że ona cały czas coś do mnie mówi, rozumiesz?

– Na przykład?

Iwan wzruszył ramionami.

– Na przykład, że chętnie wepchnęłaby mi łąb do piekarnika.

– Myślisz, że Will chce mi powiedzieć, że wepchnąłby mi łąb do piekarnika?

– Nie. Ale może ty po prostu nie słuchasz, co on mówi.

– Cóż, jeśli próbuje mi coś przekazać, szkoda, że mi tego po prostu nie powie. To już ponad rok. Cokolwiek chce mi zakomunikować, to na pewno nie jest gorsze niż milczenie.

Dziewczeta udawały, że nie przyglądają się chłopcom, gdy plotkowały w grupkach albo bawiły się telefonami, a chłopcy udawali, że nie przyglądają się dziewczętom, gdy popisywali się przed nimi, głównie grając w podbijankę i filmując się nawzajem, jak walą niczego niepodjejrzanego kolegę w mniej bolesne miejsca. Wszyscy przyglądali się wszystkim, ale nikt nie nawiązywał kontaktu wzrokowego. Jak w jakimś wielkim konkursie na wytrzymanie spojrzenia, z tym że możesz mrugać, ile chcesz, tylko jeśli ktoś cię przyłapie na gapieniu się, musisz się skurczyć jak posypany solą ślimak. Jedna jedyna osoba czuła się na tyle pewnie, żeby wytrzymać wzrok absolutnie każdego ucznia na boisku i dziś, tak jak zawsze, Mark upatrzył sobie Willa.

– Poważnie, to było wariactwo! – mówił Mo, gdy się przeciskali przez tłum w stronę szkoły. – Te lwy, było ich, nie wiem, z osiem czy coś, właściwie lwice, lwy tak naprawdę nie polują, i one jadły tego bawoła, albo bizona, wszystko jedno, ale on ciągle żył, i wiesz, tak stał i żarł trawę, a one żarły jego i...

Will łokciem walnął Mo w zębra.

– A to za co? – spytał tamten, rozcierając bok.

Will ruchem głowy wskazał trzech niechlujnych chłopaków zbliżających się z drugiej strony boiska. Byli wyżsi i starsi od

Willa i Mo, a po ich dumnym kroku widać było, że o tym wiedzą. Koszule mieli wyciągnięte ze spodni, krawaty poluzowane jak przepracowani detektywi, ale gdyby Marka z kompaniami ktoś dostrzegł w pobliżu miejsca zbrodni, to raczej nie dlatego, że próbowaliby wytropić winnego. Chłopak był z dziesięć centymetrów niższy od pozostałych, ale braki w posturze, wyglądzie, inteligencji i przednich zębach nadrabiał reputacją największego terrorysty Richmond High. Nie trzeba było bardzo zawinić, żeby go poznać od złej strony (znanej też jako jego jedyna strona). Wystarczyło, że istniejesz, i już trafiałeś do loterii bólu Markusa Robsona, a z powodów, których Will nigdy nie rozgryzł, on trafiał tam dwa razy częściej niż ktokolwiek inny.

– Chodź – ponaglił kolegę Mo. Niespodziewanie zrobiło im się spieszno do klasy. Tamci też przyspieszyli, pomykając przez tłum jak trzy fretki w jednej nogawce.

– Patrzcie, chłopaki, kogo my tu mamy – powiedział Mark, odcinając im drogę do głównego wejścia. – Głupi i głupszy. A może głuchy i głupszy?

– Już ci mówiłem, nie jestem głuchy – zaprotestował Mo. – Mam...

– Co? – spytał Mark, okalając dłonią większe ucho. – Nie słyszę cię, gościu.

– Powiedziałem, że nie jestem głuchy. Ja tylko...

– Co?

– Powiedziałem, że...

– Nie słyszę cię, Mo, mów głośniej.

Mo w końcu zrozumiał i westchnął.

– Idiota – burknął pod nosem, manewrując aparatem słuchowym.

– Że co? – spytał Mark.

– Podobno mnie nie słyszysz – odparł Mo kąśliwie.

- Lepiej uważaj, co gadasz. - Mark chwycił go za krawat tak mocno, że węzeł zaciągnął się w orzeszek. - Naucz się tej sztuczki od swojego chłoptasia.

Mark odwrócił się do Willa, a Mo próbował poluzować krawat.

- Na co się gapisz?

Will wzruszył ramionami, wbijając wzrok w ziemię.

- Podobam ci się? - pytał Mark. - O to chodzi?

Will pokręcił głową.

- Mówisz, że jestem brzydki?

Znowu zaprzeczenie.

- No to ci się podobam?

- Zostaw go w spokoju - odezwał się Mo głosem ochryłym od podduszenia.

- Zamknij się, Moby Dupku.

- Moby Dupek! - włączył się Tony, wyższy z kompanów Marka. - Dobrze.

- Ja nie kumam - odezwał się Gavin, na którego twarzy było tyle przyszczy, że w głowie miał pewnie więcej ropy niż mózgu.

- No wiesz, Moby Dick, jak w tej książce - wyjaśnił Tony. - Wieloryb, jednonogi Arab i tak dalej.

- Arab? - spytał Gavin. - Jak Mo?

- Ahab - poprawił ich Mo. - Kapitan Ahab. A ja nie jestem Arabem, tylko Pendźabczykiem.

- To to samo.

- *Teri maa ka lora* - wymamrotał Mo.

- Jak tam twoja ręka? - spytał Mark, wskazując biceps Willa. Ten wzruszył ramionami, okazując tyle brawury, ile udało mu się wykrzesać w tych okolicznościach, a to i tak nie było za dużo.

- Czyli nie masz nic przeciwko, żebym cię znowu walnął? - Mark udał, że wymierza cios, a Will odruchowo przesunął się,



żeby chronić ramię. Młodociany tyran się wyszczerzył. – Tak myślałem. – Zadzwoił dzwonek, więc cała jego banda odwróciła się do drzwi. – Do zoba na lunchu, frajerzy.

Mo rozcierał szyję, cicho klnąc po pendzabsku. Will kiwnął głową, pewien, że cokolwiek Mo mówi, jest należycie złe.

Dołączyli do innych uczniów wlewających się do budynku i ruszyli do swojej klasy. Mo, siadając obok przyjaciela, trącił go i wskazał okularnika o rzadkich włosach, z nastroszoną brodą, stojącego tyłem do białej tablicy. Wyglądał, jakby się ubierał po ciemku, a z wyrazu jego twarzy można było wnioskować, że nie za bardzo się tym przejmuje.

– Skąd ten koleś się urwał? – spytał Mo.

Will wzruszył ramionami.

– Okej, proszę o spokój – odezwał się mężczyzna głosem przepełnionym znużeniem, jak ktoś, kto całe życie jest ignorowany. – Pewnie się zastanawiacie, kim jestem i co tu robię. A jeśli mam być szczerzy, czasami sam sobie zadaję te pytania, podobnie jak każdy z was w tej sali będzie je sobie zadawał pewnego dnia, gdy sobie uświadomi, że życie to jedno wielkie pasmo rozczarowań. Ale dla jasności powiem, że nazywam się Coleman i zastępuję waszego wychowawcę.

Napisał swoje nazwisko na tablicy i podkreślił je.

– Nie Cullman. Nie Collman. Ani Cool Man, chociaż może cię tak do mnie mówić. Ale zasadniczo Coleman. Jasne?

Przez klasę przebiegł pomruk, że jasne.

– Uznam to za odpowiedź twierdzącą. A teraz, zanim ktokolwiek z was popełni ten niewybaczalny błąd i uzna mnie za łatwy cel, bo jestem nowy, to radzę, żeby się dobrze zastanowił. Widziałem i słyszałem już wszystko, co można zobaczyć i usłyszeć w szkole, więc czymkolwiek odstraszyliście pana Hale’a, zapewniam, że na mnie to nie zrobi wrażenia. Czy wyrażam się jasno?

Pan Coleman potoczył wzrokiem po uczniach, tłumiąc każdy uśmiech, na który się natknął.

– Świetnie. Zaczniemy od sprawdzenia obecności. To dość proste. Wyczytuję wasze nazwiska, a wy wołacie „obecny”.

Otworzył dziennik i szybko go przewertował.

– Atkins? – wyczytał, zawieszając długopis nad kartką.

– Obecna – odpowiedziała siedząca przed Willem dziewczynka z aparatem na zębach.

– Dobra robota, Sandro. – Pan Coleman postawił ptaszek przy jej nazwisku. – Najwyraźniej to nie twój pierwszy raz. Cartwright?

– Jestem – odezwał się chłopak z przekrzywionym krawatem, siedzący w głębi sali.

– O Cartwricie nie można tego powiedzieć – skwitował pan Coleman. Wszyscy się roześmiali, oprócz Cartwrighta. – Jindał?

– Obecny.

– Ucz się, Cartwright – skomentował wychowawca.

– Obecny – zameldował chłopak, wywołując jeszcze większy wybuch śmiechu.

– Nie, Cartwright, już... A, nieważne. Kabiga?

– Obecny – odezwał się Kabiga.

– Malooley?

Cisza.

– Malooley?

Kilka chichotów przerwało ciszę, gdy pan Coleman rozglądał się po sali. Wszystkie ławki były zajęte. Will siedział z ręką w powietrzu. Pan Coleman ściągnął brwi.

– Tak? – spytał.

– To Malooley, proszę pana – wyjaśnił Mo.

– Doprawdy? – Pan Coleman spojrział na Willa. – Więc dlaczego nie mówisz „obecny”?

- On nie mówi – pospieszył z odpowiedzią Mo.
- Nie mówi?
- Nie, proszę pana.
- A ty... jesteś jego przedstawicielem?
- Może raczej rzecznikiem – doprecyzował Mo. Klasa zaniosła się śmiechem.
- No dobra – uciął pan Coleman. Skierował wzrok na dziennik i postawił ptaszek przy nazwisku Willa. – Cofam to, co wcześniej mówiłem. Dopiero teraz mogę powiedzieć, że widziałem wszystko.

Pierwszą część przerwy na lunch Will spędził w schowku dozorczeni. Często przebywał tam przez jakąś część szkolnego dnia, nie dlatego, że przepadał za zapachem środków czystości albo lubił przesiadywać w ciemnym pomieszczeniu, lecz dlatego, że znowu zamknęli go tam Mark i jego banda, po tym jak go dopadli w drodze na stołówkę. Tak się działo od dnia, w którym, coś kombinując, odkryli, że wewnętrzny uchwyt schowka jest obluźowany i można go bez wysiłku wyjąć, w ten sposób tworząc prowizoryczny areszt dla swoich nieszczęsnych ofiar – dało się otworzyć wyłącznie od zewnątrz. Will dostąpił wątpliwego zaszczytu bycia ich aresztantem numer jeden. Do niego należał też rekord w długości odsiadki, ponieważ kiedyś utknął tam na całe dwie godziny lekcyjne, choć skoro były to matematyka i przyroda, niespecjalnie starał się uwolnić.

W sumie nawet lubił schowkową ciszę i samotność. Wręcz specjalnie już się nie opierał, gdy go tu zamykali (co trochę psuło im zabawę, ale nie na tyle, by z niej zrezygnowali). Nikt się z niego tam nie śmiał, nie nabijał ani go nie obrażał. Nikt nie mówił mu, że lubi być w centrum zainteresowania (co Will odbierał jako szczególnie denerwujące, skoro tak wiele trudu wkładał

w to, by nikt na niego nie zwracał uwagi), i nikt go tam nie mógł zbić, ponieważ właśnie osoby, które go zwykle biły, zamknęły go w tej komórce. I nikt nie udawał, że wie, co on czuje. Ludzie nie porównywali swojej sytuacji do jego, bo kiedyś ich bolało gardło i stracili głos na tydzień. Wszyscy po prostu zostawili go w spokoju. Jedynym minusem tego rozwiązania był doskwierający mu głód, więc kiedy przyszedł esemes od Mo z pytaniem, gdzie jest, Will już miał odpisać, gdy usłyszał na korytarzu głos pani Thorpe.

– Cześć, Dave.

Sue Thorpe była ich dyrektorką. W przeciwieństwie jednak do wielu innych dyrektorów, zwolenników surowej dyscypliny, o srogich twarzach i włosach w nosie dłuższych niż lont, co to nie byli w stanie spojrzeć na linijkę, nie odczuwając potrzeby grzotnięcia kogoś, niekoniecznie ucznia, pani Thorpe była zabawna, ujmująca i uczniowie zasadniczo ją lubili, nawet jeśli czasami z trudem powstrzymywała się od zaatakowania któregoś artykułem biurowym.

– O, Sue, dobrze, że cię widzę. – Dopiero po chwili Will rozpoznał głos pana Colemana.

– Jak ci dziś idzie?

Mężczyzna westchnął.

– Znasz to uczucie, kiedy się rozglądasz po klasie i wszyscy słuchają tego, co mówisz, a ty dosłownie widzisz, jak robią się mądrzejsi, i stoisz, i mówisz sobie: „Dlatego właśnie zostałem nauczycielem. Na tym to polega”?

Pani Thorpe milczała chwilę.

– Niezupełnie – powiedziała w końcu.

– Właśnie – odrzekł pan Coleman. Will się uśmiechnął.

– Czyli wszystko po staremu?

– Wszystko po staremu. Chociaż nie, to byłoby kłamstwo.

- Tak? Mów.
- Co wiesz o jakimś Malooleyu?
- O Willu? – spytała pnia Thorpe.
- Tak. Tym milczącym.

Will przesunął się i przyłożył ucho do drzwi schowka.

- Fajny dzieciak. Dobry uczeń. Dlaczego pytasz?
- On naprawdę nie mówi? Czy to element mojego rytuału inicjacyjnego?

- Mówi – przyznała pani Thorpe. – Tylko... tylko że nie chce. To się nazywa mutyzm wybiórczy.

- O, szkoda, że moje dzieci tego nie mają.
- Ani moje.

- Zawsze taki był? – spytał pan Coleman. Will niestety wiedział, co teraz powie pani Thorpe.

- Rok temu stracił mamę. Zginęła w wypadku samochodowym. Wpadła w poślizg na oblodzonej nawierzchni i uderzyła w drzewo. Will był wtedy w samochodzie, biedactwo. Od tego czasu nie mówi.

Pan Coleman wymamrotał coś, czego Will nie zrozumiał, ale pewnie było to przekleństwo. Cokolwiek to było, pani Thorpe się z tym zgodziła.

- Z tego powodu prześladowają go starsi chłopcy, więc uważaj na nich. Miałam już z nimi pogadankę, ale wiesz, jak to jest z nastolatkami.

- Niestety.

Ich głosy cichły, gdy oddalali się korytarzem.

Will został jeszcze kilka minut w komórce, nagle straciwszy apetyt. W środku zrobiło się jeszcze ciemniej, więc napisał do Mo, żeby po niego przyszedł.

Po dzwonku potok dzieci wylał się na podwórko. Danny rozglądał się wśród mundurków, aż ujrzał Willa i Mo, a zaraz za nimi Marka i jego zbirów. Gavin rzucał w Mo orzeszkami, a Tony raz za razem deptał po piętach Willowi, przez co ten się potykał. Mark z uśmiechem na twarzy szedł za nimi, dumny ze swoich wytresowanych kompanów. Ujrzawszy Danny'ego, który patrzył na nich groźnie, zabrał ich i zniknął w tłumie.

Will machnął Mo na pożegnanie i ze zwieszoną głową i rękoma w kieszeniach powoli przeszedł przez jezdnię.

– Kto to był? – spytał Danny, wskazując wzrokiem Marka. Chłopiec wrzucił ramionami i pokręcił głową.

– Pozwałbym swoich rodziców, gdybym tak wyglądał.

Will uśmiechnął się blado, a w zasadzie było to preludium do uśmiechu, który nigdy nie nadszedł.

– Powiedziałyś mi, gdyby ci dokuczali, prawda?

Syn kiwnął głową. Danny patrzył nieprzekonany.

– Chodźmy – powiedział.

Will wbijał wzrok w ziemię, a jego tata czytał epitafia. Wszystkie sprawiały wrażenie zimnych i bezdusznych pod gołębioszarymi chmurami, które zebrały się na niebie.

Danny doskonale wiedział, dokąd idą, ale i tak się nie spieszył, nie dlatego, że chciał tu być – nie chciał i wiedział, że jego syn też nie chce – lecz dlatego, że chociaż od wypadku minął ponad rok, on jeszcze nie przepracował smutku na tyle, by zaakceptować w pełni, że jego żona nie żyje, przynajmniej nie w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa. Wiedział, że jej nie ma. Tyle rozumiał. Nie rozumiał natomiast tego, że nigdy jej już nie będzie. Wyobrażał sobie za to, że odeszła w taki sposób jak jego ojciec – który nie umarł (w każdym razie tak Danny przypuszczał, choć pewności nie miał, zresztą w ogóle go to nie obchodziło), ale go nie było. Pod pewnymi względami był to okrutniejszy koncept śmierci niż sama śmierć, bo wyposażony w funkcję, którą śmierć nie dysponowała: dawał mu nadzieję – choćby nie wiadomo jak nikłą – że może pewnego dnia wyjdzie za róg albo przez drzwi, a tam będzie stała jego żona. Czasami był pewien, że czuje zapach jej perfum w pokoju, do którego wszedł, albo słyszy jej głos na ruchliwej ulicy, albo czuje jej dłoń na swoim policzku, gdy błąka się po samotnych obrzeżach snu. Innym razem wydawała mu się tak blisko, że wystarczyłoby się do niej odwrócić, ale ona znikwała, zanim obejrzał się przez ramię, tłum wchłonał jej ciało, wiatr porwał jej głos. Zupełnie jakby żyła w świecie równoległym, niczym dwoje obcych mieszkających w tym samym wieżowcu – słyszą ruchy tego drugiego, ale nigdy się nie spotykają. I właśnie dlatego tak niechętnie chodził na cmentarz. Nic tak nie niszczyło tej iluzji jak widok nazwiska żony wyciętego w zimnej i martwej granitowej płycie.

– No, to jesteśmy – powiedział, zatrzymując się obok czarnego nagrobka ze złotymi literami. Kucnął i położył dłoń na płycie. Will stał nad nim.

Grób był skromny, w niczym nie przypominał wymyślnych posągów i pomników, które stały w żalobnym milczeniu doko-

ła. Prostokątną kwatere tworzyła otoczona granitową obwódką warstwa lśniących kawałków zielonego szkła, które odbijały światło, gdy wychodziło słońce, i migotały niczym powierzchnia jeziora. Dziś jednak wyglądały równie buro jak bukiet stojący tu od ich ostatniej wizyty – brązowe łodyżki zwisały smętnie z dziurkowanej pokrywki niewielkiego metalowego wazonu stojącego u podnóża płyty.

– Zawsze lubiła tulipany, prawda? – spytał, wyjmując z wazonu stare kwiaty, a wkładając w ich miejsce świeże. Ułożył je starannie i wytarł z nagrobka plamkę nieistniejącego brudu. – Myślisz, że kolor by się jej spodobał? – podjął, odwracając się do syna. – Żółtych już nie było...

Chłopiec wpatrywał się w grób z napiętą szczęką.

– Chcesz coś powiedzieć mamie? – spytał Danny. – Z okazji jej urodzin?

Will pokręcił głową, nie odrywając wzroku od nazwiska na płycie.

– No dobra – powiedział ojciec, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Możesz się przejść.

Syn wykręcił się spod jego dłoni i oddalił się ścieżką.

– Will! – krzyknął za nim ojciec i zaraz potulnie przeprosił stojącą przy pobliskim grobie starszą panią, która zgromiła go wzrokiem. Patrzył, jak jego syn siada na ławce w dalszej części cmentarza.

– Z każdym dniem jest coraz bardziej podobny do ciebie, Liz – powiedział. – Już naprawdę nie wiem, co mam z nim robić. Próbowalem wszystkiego, ale on po prostu nie mówi i koniec. Na ogół w ogóle na mnie nie patrzy. Nie wiem, czy mnie kocha czy nienawidzi, czy co. Ciągle mam nadzieję, że z tego wyrośnie, jakby to była jakaś faza, nie wiem czego, ale im dłużej to trwa, tym bardziej jestem przekonany, że to się nigdy nie skończy,



cokolwiek to w ogóle jest. – Z westchnieniem pokręcił głową. – Czasami mam wrażenie, że tamtego dnia straciłem was oboje.

Nad jego głową zaszeleściły na gałęziach liście, gdy drzewa cicho skrzypnęły pod naporem wiatru.


– Przepraszam, Liz. – Danny zamrugał kilkakrotnie powiekami i wypuścił powietrze, jakby właśnie się wynurzył z lodowatej wody. – Taka to ze mnie dusza towarzystwa. Nic nam nie jest. Wszystko w porządku. No, nie w porządku, ale wiesz, no, staramy się. Will dobrze sobie radzi w szkole, w pracy jak w pracy, nasz gospodarz to dalej palant, a pani Amadi spod trzydziestki-szóstki nadal myśli, że masz na imię Susan. Uważa też, że Will nie mówi, bo zły duch odebrał mu głos, więc usilnie wciska mi telefon do jakiegoś miłego pana Alana, który bodajże odprawia egzorcyzmy po przystępnej cenie. No więc tak to wygląda.

Zaśmiał się, albo próbował się zaśmiać, ale wydał z siebie tylko pusty dźwięk

– Zobacz... – podjął, podnosząc wzrok na zachmurzone niebo. – Stoję tu, gadam do kamienia i wiem, że mnie nie słyszysz, bo cię tu nie ma. Nie możesz tu być, bo słońce nie świeci, co oznacza, że dosłownie gadam do kamienia, a ty gdzieś tam świętujesz swoje urodziny beze mnie. Więc zostawię cię tak, moja piękna. Gdziekolwiek jesteś i cokolwiek robisz, mam nadzieję, że się uśmiechasz, i mam nadzieję, że tańczysz. Tylko mnie nie obudź, kiedy będziesz wchodzić do domu, dobra?

Dotknął palcami ust, a potem dotknął nimi płyty nagrobnej.

– Kocham cię, Liz. Wszystkiego najlepszego.



Życie Danny'ego się rozpada. Został samotnym ojcem jedenastoletniego Willa. Chłopiec od roku, od śmierci matki w wypadku samochodowym nie odezwał się do nikogo. Na domiar złego Danny'ego właśnie zwolnili z pracy i popada w coraz większe długi, a właściciel mieszkania grozi mu eksmisją.

Podczas spacerów po parku wpada na genialny w swej prostocie pomysł: wydaje ostatnie pieniądze na nieco sfatygowany kostium pandy i wzorem ulicznych artystów decyduje się zostać tańczącym niedźwiedziem.

Pewnego dnia spostrzega grupkę chłopców dokuczających jego synowi.

Nie zważając na swoje zabawne przebranie, przepędza napastników.

Wtedy Will odzywa się po raz pierwszy, nieświadomy, że panda, której się zwierza, to jego ojciec. Czy Danny straci zaufanie syna, kiedy wyjawia, kim jest? Czy uda mu się wyjść z długów i odtworzyć relację z synem?

**Podnosząca na duchu powieść o ojcu i synu, którzy na nowo budują więź w najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach i wspólnie przechodzą żałobę po stracie najbliższej im obu osoby.**

**KUP  
TERAZ!**

cena 39,90 zł

PATRONAT REGULACYJNY



lubimyczytać.pl

w sprzedaży także

